

Ryszard Peryt - zielonogórzanin jako jedyny reżyser na świecie zrealizował wszystkie dzieła sceniczne Mozarta i Monteverdiego. Profesor Akademii Teatralnej w Warszawie. A czy wiemy, że reżyserował przed laty pochód winobraniowy i sam w tych pochodach występował?

Ponizej wywiad Gazety Lubuskiej z prof. Ryszardem Perytem z 14 września 2014 r.

- Czy ma pan profesor jakieś szczególne wspomnienia z Zielonej Góry - takie najprzyjemniejsze i takie "najmniej przyjemne"?

- Wspomnień - "najprzyjemniejszych" i tych "najmniej przyjemnych" jest bardzo wiele... szczególnie gdy pamięć - po prawie 50ciu latach [do Warszawy, na studia wyjechałem w 1965 roku] gorączkowo zaczyna wertować brulion często bardzo chaotycznego zapisu... bo zapisu emocjonalnego. Oczywiście wspomnieniem "najprzyjemniejszym" jest chyba zawsze pierwsza... miłość.

A do tych wspomnień "najmniej przyjemnych" zaliczyłbym traumatyczne doświadczenie tego momentu w którym dopada nas pierwsza... zdrada.

Z "ponad-półwiecznej" perspektywy życiowej mógłbym rzec iż jest to dane we wspomnieniu najpierw niebiańskie przeżycie "przebywania w Raju"... a później piekielne przeżycie "wygnania z Raju"... To taka pierwsza lekcja religii w naszym "kraju lat dziecińczych".

- Jak wspomina pan profesor swoje szkoły i zespół "Makusyny", kierownika tego zespołu, koleżanki i kolegów z zespołu?

- Podstawówka z czerwonej cegły [chyba na ul. Długiej] z której pamiętam [niechętnie] codzienne apele przed lekcjami, podczas których śpiewało się zawadiacko-pionierską pieśń o produkcji i świetlanej przyszłości: "... turbiną Tychów nam refren poda, i tak popłynie piosenka młoda..." - natomiast chętnie pamiętam siedzącą w ławce przede mną piękniutką blondynkę, którą nieśmiało pociągałem za długi do pasa warkoczyk... a ona, niby oburzona gwałtownie odwracała się, marszczyła brwi - ale w jej oczach widziałem zalotny uśmiech... Podobnych historyjek było znacznie więcej... zawsze lubiłem dziewczyny... i to się do dzisiaj nie zmieniło.

"Makusyny" to już szkoła średnia - liceum i niezapomniany Zbigniew Czarnuch.

Jemu zawdzięczam obudzenie moich zainteresowań "naukowych" i

"teatralnych"... To w "Makusynach" zostałem po raz pierwszy "dyrektorem teatru"... dyrektorem "Cyrku Cudaków" [Wiesław Hudoń napisał o nas książkę]... To w "Makusynach" jeździło się na letnie obozy harcerskie, na rowerowe rajdy po Polsce, na spływy kajakowe... na narty - na zimowiska i spędzało się niezapomniane "bale sylwestrowe" w górach... zawsze dużo się wspólnie śpiewało i ciekawie rozmawiało... flirtowało i się zakochiwało "na śmierć"... wspaniały i pełen mądrej fantazji czas zielonogórskiej młodości.

To w "Makusynach" po raz pierwszy występowałem w warszawskiej TV [wówczas czarno-białej] pokazując moje eksperymenty chemiczne - między innymi "podwodne spalanie"... czyli tzw. "Efekt Peryta". Moja pasja eksperymentatorska

w dziedzinie chemii zawiodła mnie na "Olimpiadę Chemiczną" - a dzięki wygranej otrzymałem w nagrodę "prawo do rozpoczęcia studiów wyższych na Wydziale Chemii w dowolnie wybranej uczelni w Polsce"... wybrałem Uniwersytet Warszawski... w 1966 dostałem się na Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie i w ten sposób pasja do spektakularnych efektów chemicznych i ekspresja aktorsko-cyrkowo-teatralna spotkały się na drodze prowadzącej do profesjonalnego aktorstwa i reżyserii... na drodze do teatru opery. Zbigniew Czarnuch był charyzmatycznym przewodnikiem młodzieży i mądrym wychowawcą - jemu zawdzięczam tę teatralną inicjację... To on dostrzegł we mnie jakąś iskrę talentu, którą ochronił i rozniecił... On uczynił mnie drużynowym "Drużyny Artystycznej" w ramach dużego organizmu jakim z biegiem lat stały się "Makusyny" - byliśmy już nie pojedynczą drużyną, ale wielu drużyn "Szczepem". Był też Czarnuch świetnym nauczycielem historii. Lubiłem wchodzić z Nim w polemiki, a nawet kłótnie "światopoglądowe" - byłem dość krnąbrnym i niepokornym uczniem.

W Warszawie była słynna harcerska drużyna "Walterowców" prowadzona przez Jacka Kuronia [ich patronem był generał Walter - Karol Świerczewski]... a w Zielonej Górze była słynna drużyna harcerska "Makusyny" prowadzona przez Zbigniewa Czarnucha [nazwa "Makusyny" to synowie Kornela Makuszyńskiego słynnego pisarza "dla młodzieży"]... Otóż te dwie "słynne drużyny" stanęły do szlachetnej rywalizacji - w Warszawie odbywał się konkurs na najlepszy harcerski zespół artystyczny... i nasz "Cyrk Cudaki" wygrał ze wszystkimi - także z "Walterowcami"... to wtedy poznałem Jacka Kuronia... To w "Makusynach" zaprzyjaźniłem się z Jerzym Czerniawskim i Zdzisławem Milachem - mówiono o nas "Trzej Muszkieterowie Czarnucha"... Poznałem Bogdana Kapałę [skrzypek w orkiestrze Sinfonia Varsowia], Stefana Czerbaka [wykładowca Akademii Muzycznej we Wrocławiu], Urszula Dudziak [Światowej klasy wokalistkę jazzową]... i wielu wielu innych wspaniałych, rozsianych po całym bożym świecie...

Swoją drogą może warto byłoby zrobić jakiś taki "remanent" - ilu nas i gdzie jesteście... po tych 50ciu latach...

"Makusyny" to była bardzo silna wspólnota młodych ludzi o głębokiej formacji etycznej i patriotycznej... ale nie byłaby to formacja kompletna bez arcyważnej i fundamentalnej formacji duchowo-religijnej - domowej i rodzinnej, którą dali Mamusia i Tatuś... a także Dziadkowie.

Pamiętam te niechciane pobudki około piątej rano... zima... za oknem ciemno... Pięcioletni... pół-śpiący... stoję w łóżeczku... Mamusia mnie ubiera... Ubrani i opatuleni, wraz ze starszym bratem Wiktorem, prowadzeni "za rączki" przez Mamusię człapiemy z ul. Drzewnej 18 [?], gdzie mieszkaliśmy [tego domu już nie ma - został tylko kawałek mozaikowej posadzki z korytarza] do szpitala sióstr Elżbietanek [szpitala chyba też już nie ma - ten za kościołem Matki Boskiej Częstochowskiej], by o 6tej rano służyć do mszy świętej w szpitalnej kaplicy... Pamiętam kłęby pary wydobywającej się z ust podczas mówienia ministrantury [po łacinie - pamiętam ją do dzisiaj] i to, jak to od panującego zimna metalowy uchwyt dzwonka przylepiał się do wnętrza dłoni... Tak... to już ponad 60 lat... do dzisiaj jestem ministrantem [łacińskie ministrant znaczy służący, pomocnik]. Dziadek Mojżesz był "kościelnym" w zielonogórskiej cerkwi - Dziadkowie ze

strony Mamusi byli bowiem prawosławni... Tak więc Dziadek czasem zabierał mnie ze sobą do cerkwi bym mu pomagał w przygotowaniach do nabożeństwa: cóż to były za nadzwyczajne dla małego chłopca chwile - pełne piękna i powagi. A wspomnienia wspólnie obchodzonych świąt Bożonarodzeniowych i Wielkanocnych - ze względu na różnice kalendarza katolików i prawosławnych świąta były niejako "podwójne"... cóż to była za atrakcja, frajda i egzotyka... Myślę, że owe zimowe poranne msze święte w szpitalu sióstr Elżbietanek oraz cerkiewna krzątania z Dziadkiem Mojżeszem w zielonogórskiej cerkwi - a nade wszystko owa "dwakroć po dwakroć" przeżywana domowa religijność... dobrze i na całe moje życie przygotowały mnie do godnego i pięknego przeżywania tajemnicy Świątyni i tajemnicy Boga...

- Wie pan profesor z pewnością, że w parku jest tablica pamiątkowa z nazwiskami zasłużonych dla "Makusynów" - pana imię i nazwisko też jest na tej tablicy.

- Nie wiedziałem... i nie widziałem... To mi brzmi nieco funeralnie... coś jakby nasza zbiorowa tablica nagrobna... Jeśli listę nazwisk zasłużonych dla "Makusynów" zatwierdził sam Zbigniew Czarnuch to jestem wdzięczny... No cóż - kiedyś wszyscy odejdziemy... Ale przecież i bez tablicy - Non omnis moriar...

- Co pan profesor sądzi o takich imprezach jak zielonogórskie Winobranie? Jest plebejskie i nieatrakcyjne, a może jednak tkwi w nich jakiś urok i potencjał?

- Sądzę iż od dziesięcioleci zaniedbywana jest ogromna szansa, jaką czcigodna tradycja obdarowała Zieloną Górę... miasto wyjątkowe - pięknie rozpostarte na łagodnych "górkach", co daje się odczuć nawet w śródmieściu, idąc choćby w kierunku ul. Batorego "w dół" - lub w kierunku ul. Wrocławskiej "w górę". Miasto niezmiennie górzyste i zielone - dawniej Grünberg... teraz Zielona Góra... a dla mnie Monte Verde... bowiem wybitny kompozytor włoski: Monteverdi, którego wszystkie dzieła sceniczne wyreżyserowałem, nazwiskiem swoim łączy się z nazwą miejsca mojego urodzenia: zatem moja Zielona Góra - to moje Monte Verde... Ale ta operowa dygresja tylko pozornie odbiega od istoty Pani pytania. Warto przypomnieć kilka prawd o istotnym pochodzeniu "winobrania" - o jego historycznej genezie.

Otóż nasze "winobranie" jest bardzo dalekim i zniekształconym potomkiem starożytnych greckich "Dionizji". Wiemy iż greckie Dionizje były swoistym owocem demokracji ateńskiej i były spektakularnym wyrazem przeżywania wolności - a działo się to ponad 2500 lat temu [koniec VI wieku p.n.e.]. Właściwe Dionizje rozpoczynały się od pompe - wielkiej procesji ofiarnej, inkrustowanej liturgicznymi tańcami i śpiewami - a kończyła się w świątyni Dionizosa składaniem ofiary... Struktura liturgiczna tego wydarzenia jest po dziś dzień nader czytelna i zastanawiająca. Dodajmy wszakże iż dzisiaj powszechnie uważa się że "starożytny teatr grecki" wyrósł z religijnych obrzędów ku czci boga Dionizosa - a początki teatru datowane są także na koniec VI wieku p.n.e. Oficjalna etymologia wyjaśnia że nasze słowo "teatr" zrodziło się z greckich

wyrazów: teatos - dostrzegalny, teates - widz i teatron - miejsce dramatycznych przedstawień. Ja jednak pokochałem inną etymologię słowa teatr - etymologię, na którą trafiłem jeszcze w Zielonej Górze... w Monte Verde, gdym w klasie maturalnej wdał się w polemikę z moim umiłowanym nauczycielem i wychowawcą, Zbigniewem Czrnuchem, i przeciwstawiłem "naukowej racji rozumu" - "poetycką rację serca" traktującej "rację serca" w rozumieniu Biblii: serce jako rozum najwyższy.

Przykładem był cytat z Norwida, który etymologię słowa "teatr" wyprowadza wedle takiego rozumowania: greckie Theo atrios, łacińskie Deo atrium, czyli Theo-atrrium, theatrum - teatr: przedsiónek spraw Bożych... Norwidowa etymologia teatru jest mi po dziś dzień najbliższa i uważam ją za najgłębszą. A skoro poświęciliśmy chwilę namysłu nad etymologiami, to uczynmy jeszcze dwie uwagi: po pierwsze słowo "liturgia" - greckie leitourgia znaczy służbę publiczną [pamiętamy - ministrant, służący]... po drugie słowo "opera" wzięte z łaciny znaczy: dzieło, służba... Sumując powyższe można wysnuć wspaniałą wizję mądrego, pouczającego, atrakcyjnego i pięknego "naszego winobrania". Jest tylu wspaniałych ludzi... jest Szkoła Muzyczna... jest Filharmonia... jest Teatr... jest duchowy i twórczy potencjał dla stworzenia... Teatru-Winobrania... Winobrania, które byłoby świętowaniem zielonogórskiej wspólnoty - spektakularnym wyrazem duchowego dziedzictwa i współczesnego powołania do praktykowania Dobra i Pięknego... Norwid pytał: "Cóż wiesz o pięknym?" ... i odpowiadał: "Piękno kształtem jest Miłości."

- Czy ma pan profesor jakieś wspomnienia "winobraniowe"?

- Tak mam... dwa. Bardzo różne i bardzo wyraziste...

Musiało to być jakieś 60 lat temu - Aleja Niepodległości to przecież była ulica Stalina... stałem z Tatusiem i starszym bratem Wiktorem na schodkach kina "Nysa" - vis a vis "Teatru"... pamiętam jadący traktor udekorowany zieloną winoroślą i czerwoną flagą, a tuż za nim jakieś niezwykle wysokie figury - karykatury amerykańskich kapitalistów z dużymi brzuchami, obszernymi frakami, w dużych cylindrach na dużych głowach... niosących na rękach tak jak się nosi dzieci - duże bomby atomowe... To był pierwszy zapamiętany "teatr uliczny", grany na ulicy Stalina w Zielonej Górze, grany przed naszym Teatrem Lubuskim... Te karykaturalne nadmarionety kapitalistycznej burżuazji, grożące atomową wojną wszystkim dzieciom na świecie, były bardzo efektowne i porażające... Wiele lat później wróciło wspomnienie tamtego traumatycznego przeżycia: w tym samym miejscu, ale na krawędzi chodnika, blisko dawnej ulicy Stalina - teraz już Niepodległości - także vis a vis Teatru Ziemi Lubuskiej, w korowodzie winobraniowym znowu pojawiły się nadmarionety - tym razem były to Maski z przedstawienia wyreżyserowanego przez ówczesnego dyrektora teatru, Marka Okopińskiego; teatr leżący teraz już przy Alei Niepodległości grał "Wyzwolenie" Stanisława Wyspiańskiego... Tak to w korowodzie winobraniowym, na dawnej ulicy Stalina, a obecnej Niepodległości, zaistniały dwa typy nadmarionety, wyrażające dwie epoki: Zniewolenia i Wyzwolenia... Drugie wspomnienie jest bardziej dramatyczne, ale również ma kontekst polityczny i teatralny... Jest rok 1968 - w Warszawie słynne "wydarzenia

marcowe" w których brałem czynny udział. Najpierw protest przeciw zdjęciu z afisza "Dziadów" Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym. To my, troje studentów warszawskiej PWST - Małgorzata Dzięwulska, Andrzej Seweryn i Ryszard Peryt - po ostatnim przedstawieniu "Dziadów" rozwinęliśmy przed teatrem transparent z napisem: żądamy dalszych przedstawień; od tego zaczęła się wielka demonstracja, która doszła pod pomnik Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu. Tam nas rozgromiła Milicja Obywatelska, a bardzo wielu z nas aresztowano... Po "wydarzeniach marcowych" były "wydarzenia sierpniowe"... kiedy to wojska Układu Warszawskiego, w tym także Wojsko Polskie - solidarnie wkroczyły do Czechosłowacji by... ratować zagrożony socjalizm. Podczas jednej z naszych "akcji protestacyjnych" polegających na rozrzucaniu ulotek potępiających inwazję na Czechosłowację - wpadłem... do aresztu. Przesłuchania w sprawie "o próbę obalenia ustroju socjalistycznego"... po wyjściu przyjechałem na resztkę wakacji do Zielonej Góry - do domu. Odwiedziłem także kolegów w teatrze - właśnie rozpoczynali próby do nowego spektaklu: znowu to był Stanisław Wyspiański - "Powrót Odysa". Dyrektor teatru i reżyser Jerzy Hoffmann zaproponował, bym uczestniczył w próbach czytanych jako jego asystent... wszak byłem już po drugim roku studiów aktorskich. Teraz, kiedy z pamięci wywołuję tamte zdarzenia - widzę wyraźniej szczególną symbolikę miejsc i tytułów; ulica Stalina i Niepodległości; winobranie, nad- marionety i teatr; Wyspiańskiego "Wyzwolenie" i "Powrót Odysa"; a jeszcze "Cyrk Cudaków - Makusyny", Chemia i Olimpiada, studia aktorskie i PWST. Wreszcie nastąpiła ta brzemienne w skutki chwila, kiedy dyrektor teatru zaproponował mi, ażebym podjął się "wyreżyserowania korowodu winobraniowego" - propozycja spada na mnie jak grom z jasnego nieba, a poza tym prestiż zawodowy, no i wakacyjny zarobek... nie do pogardzenia dla ubogiego studenta. Zabieram się więc do opracowania całej koncepcji i ruszam do roboty.

Postanowiłem dość ambitnie, że korowód będzie otwierała grupa histrionów - wesółków i sowizdrzałów, wprowadzających atmosferę "afery ulicznej"; trochę akrobacji, trochę tańca, trochę śpiewu... no i oczywiście efekty pirotechniczne. Przecież jako chemik nie raz robiłem proch saletrowy... z domieszkami różnych substancji zabarwiających iskrzący płomień i dym bengalskich ogni... Tym razem zleciłem przygotowanie takiego prochu saletrowego poleconemu mi przez organizatorów nauczycielowi chemii... zielonogórskiego Studium Nauczycielskiego. Sam zaś zająłem się próbami z wybranymi młodymi, sprawnymi chłopakami z "Makusynów" - był wśród nich także mój młodszy brat Marek. Próby szły świetnie, całość była wyćwiczona w szczegółach włącznie z miejscami i odpowiednimi momentami efektów pirotechnicznych - proch miano dostarczyć gotowy tuż przed rozpoczęciem korowodu. Tak też się stało... i na znak dany przez organizatorów - moja "grupa szturmowa" ruszyła... ja byłem tuż przy nich. Wszystko szło świetnie - włącznie z efektami pirotechnicznymi - jeden chłopak brał szczyptę prochu na łyżeczkę, a drugi podpalał... Nagle... po paru minutach błysk i huk... i jęk wśród stojącej wzdłuż ulicy publiczności... widzę pokrwawioną na piersiach koszulkę mojego brata... także krew na mojej koszuli... Jesteśmy na wysokości kina "Newa", przy "stawiku z łabędziami" - tam, gdzie było kiedyś mieszkanie Czarnucha, blisko Pogotowia Ratunkowego... Zamieszanie i krzyki... Nie mam pojęcia co się stało... Zabierają nas na

Pogotowie... rany są niegroźne... to tylko skaleczenia... Pojawiają się milicjanci, także w cywilu - zabierają mnie do aresztu i na przesłuchanie. Tam dopiero dowiaduję się, że jestem odpowiedzialny za poważne zranienie w oko odłamkiem szkła - jednej dziewczyny spośród publiczności. Jestem następnie także oskarżony o "próbę zamachu na Ministra Kultury i Sztuki - Lucjana Motyki" ... otóż wypadek miał miejsce w pobliżu "trybuny honorowej", na której to miał przebywać Pan Minister... szczęściem Pana Ministra nie było, ale miał być - zatem środki pirotechniczne były tylko kamuflażem zbrodniczego zamiaru. Dopiero wówczas dowiedziałem się, że ów [nauczyciel chemii](#) przygotowujący dla nas proch nie tylko nie zrobił prochu saletrowego, ale ponieważ nie miał saletry, to zrobił niebezpiecznie eksplozywny proch chloranowy... i nie poinformował mnie o tym fakcie. Nigdy bym nie dopuścił prochu chloranowego do użycia... W toku przesłuchań i postępowania wyjaśniającego okazało się, że do dużego słoika, w którym znajdował się zapas prochu chloranowego... wpadła iskierka z przeciwnej strony ulicy... i cały słoik eksplodował rozpryskując wkoło szklane odłamki...

Cóż - mimo formalnej niewinności miałem ogromne poczucie winy... byłem w rozpacz. Spędziłem bezsenłą noc w zielonogórskim areszcie - nazajutrz, po kilkugodzinnym przesłuchaniu i podpisaniu zobowiązania iż stawię się na każde wezwanie sądu... wypuszczono mnie do domu. Mój "Powrót Odysa" był teraz nader mroczny i złowróżbny... W Warszawie byłem przesłuchiwany pod zarzutem "próby obalenia ustroju socjalistycznego" - w Zielonej Górze byłem przesłuchiwany pod zarzutem "próby zamachu na Ministra Kultury i Sztuki Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej" ... Trzeba przyznać, że jak na przyszłego reżysera - to obie "próby" były nader spektakularne...

- Czy teatr oparty o lokalny zespół? Czy pana profesora zdaniem teatr w małym mieście ma sens? Może w ogóle nie warto być artystą w takim mieście i trzeba tworzyć w większych ośrodkach?

- Dość długo już żyję w teatrze... ponad pół wieku... i coraz mocniej jestem przekonany o "geniuszu miejsca"... Pokochać "swoje miejsce" - i to nie tylko w sensie konkretnej topografii, ale także w wielu innych wymiarach: to "gdzie robię", "co robię", "po co robię"... i wreszcie "jak to robię"... Homer tworzył "Iliadę" na tulańcu... Dante pisał "Boską Komedie" na wygnaniu... Kochanowski na wsi w Czarnolesie... Mickiewicz na emigracji... podobnie Słowacki, Norwid... także Miłosz... Grotowski stworzył światowy teatr na strychu w socjalistycznym Wrocławiu... Kantor swój światowy teatr w krakowskiej piwnicy... Sięgając po wymiar ostateczny przypomnijmy sobie czym przed Jezusem było Betlejem... czym była Jerozolima dla "cywilizowanego Rzymu"... czym była Golgota... Przykładów można by mnożyć niemal w nieskończoność... Wniosek stąd wypływa jeden - to duchowy wymiar człowieka czyni ważnym jakieś wydarzenie, zatem także jakieś miejsce - to jest tajemny genius loci...

- W jaki sposób umotywowałby pan profesora nastolatka z Zielonej Góry, który chce zostać reżyserem teatralnym - ale uważa, że "nie

warto, bo światem teraz rządzą multimedia" i nastolatek ten nie znosi "współczesnego teatru".

- Nie "motywowałbym takiego nastolatka" w żaden sposób, ponieważ taki nastolatek nie ma żadnego powodu żeby zostać reżyserem... A nawet gdyby jakimś cudem został - to nie będzie on reżyserem, ale hochsztaplerem...

Jeśli ów nastolatek jest już teraz na tyle nie-mądry iż uważa, że "nie warto, bo światem teraz rządzą multimedia" i nastolatek ten nie znosi "współczesnego teatru"... to ja z nim nie mam o czym rozmawiać...

Chyba że on sam chciałby ze mną porozmawiać... ale musiałby się bardzo mocno starać. Myślę, że on sam musiałby najpierw doznać jakiegoś bardzo oczyszczającego wstrząsu, który zdarłby z niego skorupę prymitywnych uproszczeń, wygodę powierzchowności myślenia i dotknąłby czegoś żywego w jego wnętrzu - jego serca i jego rozumu... dotkliwie i czule zarazem, i że ów hipotetyczny nastolatek zacząłby może wreszcie, ku pożytkowi naszemu i pożytkowi własnemu odpowiedzialnie i samodzielnie myśleć... Teatr bowiem jest dla każdego - ale nie dla wszystkich...

- Jak często odwiedza pan profesor Zieloną Górę?

- Ostatnio coraz rzadziej... po śmierci mojej Mamusi została w Zielonej Górze już tylko moja Chrzestna Mama - siostra Mamusi, Weronika... i moja siostra Iwona... właściwie ona mieszka w Piaskach, pod Zieloną Górą, ale wykłada na Uczelni w Nowej Soli i prowadzi Galerię Sztuki w centrum Zielonej Góry...

Pamiętam, że dwa lata temu przyjąłem zaproszenie mojego kolegi szkolnego [także Makusyna] Andrzeja Toczewskiego - dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej a Zielonej Górze... to był bardzo miły i serdeczny gest z Jego strony...

Urządził mi, prawdziwie po bratersku, taki domowo-familijny wieczór autorski: najpierw, jako aktor, przedstawiłem "Tryptyk Rzymski" Jana Pawła II... potem odpowiadałem na pytania licznie zgromadzonej publiczności... Pośród publiczności spotkałem wiele koleżanek i kolegów z dawnych, dobrych lat...

Zaszczycił nas także swoją obecnością Jego Ekscelencja ks. dr. Stefan Regmunt, Biskup Zielonogórsko-Gorzowski, z rąk którego otrzymałem drogocenny dla mnie dar: kopię cudownego obrazu Matki Bożej Cierpliwie Słuchającej z sanktuarium w Rokitnie - obrazu, który gorąco adorowała moja Mamusia...

Tak więc właśnie w Zielonej Górze, w zielonogórskim Muzeum... Matka Boża Cierpliwie Słuchająca... "cierpliwie wysłuchała Tryptyku Rzymskiego Jana Pawła II w wykonaniu Ryszarda Peryta"... Tu muszę wyjaśnić, że wróciłem do mego pierwszego zawodu wyuczonego [PWST; dyplom 1970] - do aktorstwa... tylko z powodu owego niezwykłego... i ostatniego już poematu naszego wielkiego Ojca Świętego... świętego Jana Pawła II... natomiast uprawiam zawód reżysera... w przeważającej części reżysera oper... [PWST; dyplom 1979].

- Gdyby pojawił się konkurs na opowiadanie lub powieść z motywem lubuskim albo na sztukę teatralną z motywem lubuskim, to czy pan profesor rozważyłby propozycję uczestnictwa w jury/kapitulę takiego konkursu?

- Jeśli tylko pojawi się odpowiednio poważna propozycja i będę mógł ją pogodzić z moimi obowiązkami w Akademii Teatralnej w Warszawie - to z wielką ochotą... Wszak nawet te moje skromne wspomnienia mogłyby posłużyć zdolnemu dramaturgowi do napisania niebanalnego dramatu - ulica Stalina a potem Niepodległości, teatr uliczny z nadmarionetami przed Teatrem Lubuskim, Wyspiański ze strzepami "Wyzwolenia" i "Powrotu Odysa"... Winobranie jako Zielonogórskie Dionizje... a do tego jeszcze ów "tajny pobyt Stalina w Zielonej Górze 26-27.VII.1945"... Można teatralnie poszaleć... Wspominałem wyżej o czcigodnej i mądrej tradycji greckich Dionizji sprzed 2500 lat - wartej twórczego odczytania i odważnego podjęcia właśnie w żywiole "Winobrania". Pamiętajmy, że Dionizos - syn boga Zeusa - był nie tylko tym, który wprowadził uprawę winnej latorośli i uczył tłoczenia winnych gron... i fermentacji. Dionizos był także bogiem teatru - w Atenach, w sanktuarium Dionizosa u stóp Akropolu powstał słynny "Teatr Dionizosa" [V wiek p.n.e.]... ozdobiony posągami poetów, z ławami audytorium wykutymi w skale Akropolu... używany nie tylko jako teatr, ale także jako miejsce ważnych uroczystości i zgromadzeń publicznych... Wszak mamy w Zielonej Górze... i amfiteatr... i winne wzgórze... i palmiarnię... i mamy teatr. Jeśli dobrze pamiętam, to w jednej z komedii Arystofanesa [V wiek p.n.e.], chyba w "Żabach" - jest scena, w której bóg teatru, Dionizos, nie znajdując dobrych pisarzy tragedii, poszukuje w Hadesie niedawno zmarłego genialnego tragika... Eurypidesa. Zatem - jeśli sam bóg teatru, Dionizos, szuka dobrego materiału dla teatru nawet w Piekło... to może i my powinniśmy podjąć wysiłek czynienia rzeczy pozornie niemożliwych...

- Dziękuję za rozmowę.